

# GUILLAUME MUSSO

## TA CHWILA



ALBATROS

# Historia naszych lęków

*Historia naszego życia to historia naszych lęków.*

Pablo de Santis

1971

- Nie bój się, Arthurze, skacz! Tata cię złapie!
- Złapiesz mnie? Na pewno?!

Mam pięć lat. Siedzę na piętrowym łóżku, które dzielę z bratem. Nogi wiszą mi w powietrzu. Ojciec z rozłożonymi ramionami patrzy na mnie zachęcająco.

- Skacz, synku!
- Boję się!
- Mówiłem, że cię złapię! Chyba mi ufasz, synku?
- No tak!
- Więc skacz, mistrzu!

Jeszcze przez kilka sekund kręcę niepewnie głową, po czym z szerokim uśmiechem rzucam się przed siebie, gotów zawisnąć na szyi człowieka, którego kocham. Jednak w ostatniej chwili ojciec – Frank Costello – celowo cofa się o krok, a ja rozpląszczam się na podłodze. Boleśnie uderzam w parkiet twarzą, nie czuję szczęki. Ogłuszyło mnie. Potrzebuję dłuższej

chwili, żeby wstać. W głowie mi się kręci i mam wgniecioną kość policzkową. Zanim się rozpłaczę, słyszę lekcję, której udziela mi ojciec. Nigdy jej nie zapomnę.

– W życiu nie wolno nikomu ufać, słyszysz, Arthurze?!

Patrzę na niego przerażony.

– Nikomu! – powtarza ojciec z mieszaniną smutku i wściekłości skierowanymi do siebie samego. – Nawet własnemu ojcu!

Część pierwsza

Latarnia Dwudziestu  
Czterech Wiatrów

# Latarnia

*Zastanawiam się, co też szykuje nam przeszłość...*

Françoise Sagan

## 1

*Boston*

*Wiosna 1991*

W pierwszą sobotę czerwca ojciec zjawił się u mnie niespodziewanie o dziesiątej rano. Przyniósł biszkoptowe ciasto migdałowe i cannoli z kremem cytrynowym, które jego żona przygotowała specjalnie dla mnie.

– Słuchaj, Arthurze... Może spędzimy razem ten dzień?  
– zaproponował, włączając ekspres do kawy, jakby był u siebie w domu.

Nie widziałem się z nim od ostatniego Bożego Narodzenia. Oparty łokciami o stół kuchenny przyglądałem się swemu odbiciu w chromowanym tosterze. Nieogolona twarz, włosy potargane, sińce pod oczami (nadużyłem appletini i byłem niewyspany), miałem na sobie stary T-shirt z logo Blue Öyster Cult, który kupiłem jeszcze w liceum, i sprane bokserki

z Bartem Simpsonem. Poprzedniego wieczoru, po czterdziestoosmiodzinnym dyżurze, wypilem kilka kieliszków za dużo w Zanzi Barze w towarzystwie Veroniki Jelenski, najseksowniejszej i najbardziej przystępnej pielęgniarki w Massachusetts General Hospital.

Piękna Polka spędziła ze mną część nocy, ale wpadła na świetny pomysł, żeby zniknąć dwie godziny wcześniej, zabierając z sobą działkę trawki i paczkę bibułek do skrętów, dzięki czemu uniknęła przykrego zderzenia z moim ojcem, szyczą oddziału chirurgii w szpitalu, w którym oboje pracowaliśmy.

– Podwójne espresso to najlepsza metoda, żeby z impetem zacząć dzień! – stwierdził Frank Costello, stawiając przede mną filiżankę mocnej kawy.

Otworzył okna, żeby przewietrzyć pokój, w którym zionęło marychą, ale jakoś się powstrzymał od komentarza. Ugryzłem kawałek ciasta, obserwując go kątem oka. Dwa miesiące wcześniej obchodził pięćdziesiąte urodziny, ale ponieważ osiwił i miał już zmarszczki, łatwo można byłoby mu dać dziesięć czy piętnaście lat więcej. Mimo wszystko prezentował się elegancko, był przystojny, a ze spojrzenia jasnoniebieskich oczu przypominał Paula Newmana. Tego ranka pogardził markowym garniturem i butami sztytami na miarę. Miał na sobie stare spodnie khaki, wytarty rozciągnięty sweter i ciężkie buty z grubej skóry.

– Wędki i przynęty są w pick-upie! – rzucił, wypijając jednym haustem kawę. – Jeśli wyruszymy od razu, będziemy pod latarnią jeszcze przed południem! Przegryziemy coś na szybko i resztę dnia będziemy mogli poświęcić rybkom! Jeśli połów się uda, wracając, wpadniemy do mnie. Upieczemy rybę

w papilotach, z pomidorami, czosnkiem i oliwą.

Ojciec zachowywał się tak, jakbyśmy rozstali się wczoraj. Mimo że brzmiało to ciut nieszczerze, nie było nieprzyjemne. Piłem kawę małymi łyčzkami i zastanawiałem się, skąd u niego ta nagła ochota na spędzenie czasu w moim towarzystwie.

Przez ostatnie lata nasze wzajemne stosunki prawie nie istniały. Niedługo miałem skończyć dwadzieścia pięć lat. Byłem najmłodszy z trójki dzieci, dwóch chłopców i dziewczyny. Z poparciem mego ojca brat i siostra przejęli rodzinną firmę, założoną przez dziadków skromną agencję reklamową na Manhattanie, i rozwinęli ją na tyle, żeby móc spodziewać się w najbliższych tygodniach jej korzystnej sprzedaży wielkiej grupie marketingowej.

Ja trzymałem się zawsze na dystans od ich spraw. Byłem członkiem rodziny, ale z daleka, trochę tak jak wuj obieżyświat, który wyniósł się za granicę i którego spotyka się teraz z przyjemnością na Święto Dziękczynienia. Prawda jest taka, że jak tylko nadarzyła się okazja, wyjechałem na studia jak najdalej od Bostonu. Medyczną szkołę przygotowawczą skończyłem na Uniwersytecie Duke'a w Karolinie Północnej, cztery kolejne lata studiów w Berkeley i rok interny w Chicago. Do Bostonu wróciłem dopiero kilka miesięcy temu, na drugi rok rezydentury na oddziale ratunkowym. Pracowałem niemal osiemdziesiąt godzin tygodniowo, ale uwielbiałem tę robotę i adrenalinę, jaką wywoływała w moim organizmie. Lubilem zatrudnionych tam ludzi, dyżury na pogotowiu, stykanie się na co dzień z brutalną rzeczywistością. W rzadkich momentach wolnych od pracy obnosiłem swój spleen po barach North Endu, paliłem trawkę i sypiałem z lekko stukniętymi i mało sentymentalnymi

dziewczynami pokroju Veroniki Jelenski.

Przez długi czas ojciec potępiał mój sposób życia, ale nie zostawiłem mu żadnej możliwości ataku: nie wziąłem od niego ani grosza i sam zapłaciłem za studia. Kiedy skończyłem osiemnaście lat i umarła moja matka, znalazłem w sobie siłę, żeby opuścić dom i nie liczyć na nic ze strony ojca. To rozstanie nie bardzo mu ciążyło – wkrótce ożenił się z jedną ze swoich kochanek, kobietą uroczą i inteligentną, której główną zasługą było posiadanie umiejętności znoszenia go. Odwiedzałem ich dwa – trzy razy w roku i ten rytm satysfakcjonował wszystkich członków rodziny.

Tego ranka tym bardziej więc byłem zdziwiony. Ojciec niby diabełek wyskakujący na sprężynie z pudełka znów pojawił się w moim życiu, chwycił za rękaw i poprowadził na ścieżkę zgody, czego już nie oczekiwałem.

– No co, chcesz pojechać na te ryby, czy nie?! – spytał Frank Costello niecierpliwie, nie umiając dłużej maskować poirytowania wywołanego moim brakiem reakcji.

– Dobra, dobra, tato, pozwól mi tylko wziąć prysznic i się przebrać!

Zadowolony ojciec wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i przypalił jednego srebrną sztormową zapalniczką, którą zawsze z sobą nosił.

– Myślałem, że rzuciłeś palenie po tej historii z rakiem krtani? – spytałem zdziwiony.

Ojciec spojrzał na mnie stalowym wzrokiem.

– Czekam na ciebie w pick-upie – odrzekł, wstając z krzesła i wydychając wielką chmurę błękitnego dymu.



Przejazd z Bostonu na wschodnią część Cape Cod zajął nam niecałe półtorej godziny. Kończyła się wiosna, był piękny ranek, niebo czyste i jasne, przez przednią szybę wpadały promienie słońca, oświetlając unoszący się w powietrzu nad tablicą rozdzielczą złoty pył. Jak zwykle ojciec nie wysiłał się zbytnio, by podtrzymywać rozmowę, ale panująca cisza nie była męcząca. W weekendy lubił wsiadać do swojego chevroleta i w kółko puszczać te same kasety: *The Best of Sinatra*, płytę z koncertu Deana Martina i jakiś nieznany album country nagrany pod koniec kariery Everly Brothers. Na tylnej szybie samochodu naklejona była nalepka popierająca kandydaturę Teda Kennedy'ego podczas wyborów do Senatu w 1970 roku. Od czasu do czasu ojciec lubił odgrywać zacoфанego wieśniaka, ale w rzeczywistości był jednym z bardziej znanych bostońskich chirurgów, a przede wszystkim miał udziały w firmie wartej kilkadziesiąt milionów dolarów. Jeśli chodzi o interesy, to wszyscy ci, którzy nabrali się na ten jego pokręcony styl, zapłacili frycowe.

Po przejechaniu przez Segamore Bridge pokonaliśmy jeszcze mniej więcej czterdzieści kilometrów i zatrzymaliśmy się w Sam's Seafood, żeby kupić kanapki z homarem, frytki i karton jasnego piwa.

Kilka minut po dwunastej pick-up wjechał na zwirowaną alejkę, która prowadziła na północny kraniec Winchester Bay.

Był to skrawek ziemi dziki i skalisty, wystawiony na wiatr i otoczony oceanem. Tu, w tym samotnym miejscu, z dala od wszystkiego, stała Latarnia Dwudziestu Czterech Wiatrów. Była

to drewniana budowla o wysokości około dwunastu metrów, zbudowana na planie ośmiokąta. Obok niej wystawiono domek z białych desek ze stromym dachem pokrytym łupkiem. W słoneczne dni było to bardzo przyjemne wakacyjne miejsce, ale wystarczyło, że niebo zaciągnęło się chmurami lub zapadł wieczór, a sielski widoczek z kartki pocztowej zmieniał się w obraz jak z koszmaru godny Alberta Pinkhama Rydera. Budowla należała do naszej rodziny od trzech pokoleń. Mój dziadek, Sullivan Costello, kupił ją w roku 1954 od wdowy po pewnym inżynierze lotnictwa, który położył na niej łapę, jeśli można się tak wyrazić, podczas licytacji zorganizowanej przez rząd siedem lat wcześniej, kiedy to, cierpiąc na brak funduszy, państwo pozbywało się setek miejsc tracących znaczenie strategiczne. Latarnia Dwudziestu Czterech Wiatrów stała się zabytkiem, gdyż na wzgórzu Langford, piętnaście kilometrów dalej na południe, wzniesiono latarnię dużo nowocześniejszą.

Dziadek, bardzo dumny ze swego nabytku, zabrał się do odrestaurowywania latarni i przyległego do niej domku, zamierzając urządzić tam wygodną letnią rezydencję. I właśnie kiedy remontował tę posiadłość, w sposób tajemniczy zniknął. Stało się to w pierwszych dniach jesieni 1954 roku. Jego samochód, kabriolet Chevrolet Bel Air, stał zaparkowany przed domem ze ściągniętym dachem i kluczykami leżącymi na tablicy rozdzielczej. Podczas południowej przerwy dziadek miał zwyczaj siadywania na pobliskich skałach i zjadania tam kanapki. Szybko wyciągnięto wniosek, że musiał wpaść do wody i utonąć. Przypływy nigdy nie wyrzuciły jego ciała na brzeg, mimo to jednak dziadek został uznany za zmarłego wskutek utonięcia na wybrzeżu Maine.

Nawet jeśli nie poznałem go osobiście, słyszałem, jak ci, którzy często przebywali w jego towarzystwie, opisywali go jako ekscentryka. Odziedziczyłem po nim drugie imię oraz zegarek, którego nie chciał mój brat: Louisa Cartiera, model Tank z 1950 roku, w prostokątnej obudowie, ze wskazówkami z oksydowanej stali.

### 3

– Bierz tę papierową torbę i piwo, zjemy na świeżym powietrzu, jest słońce! – polecił mi ojciec, zatrzaskując drzwiczki pick-upa. Zauważyłem, że niósł pod pachą zniszczoną skórzaną teczkę, którą dostał od mamy z okazji rocznicy ślubu, kiedy byłem mały.

Postawiłem przenośną lodówkę na drewnianym stoliku koło murowanego grilla ustawionego jakieś dziesięć metrów od wejścia do domu. Od dwudziestu lat te ogrodowe meble i dwa fotele Adirondack opierały się, choć nie wiem, w jaki sposób, atakom niepogody. Słońce stało już wysoko, ale powietrze było rześkie. Podciągnąłem suwak w kurtce i zacząłem rozpakowywać kanapki z homarem. Ojciec wyjął z kieszeni scyzoryk, odkapslował dwa budweisery i usiadł na jednym z siedzisk ociosanych z czerwonego cedru.

– Twoje zdrowie! – rzucił, wyciągając w moim kierunku otwartą butelkę. Chwyciłem ją i usiadłem obok niego. Kiedy rozsmakowywałem się pierwszym haustem piwa, zobaczyłem w oczach ojca niespokojny błysk. Zapadła cisza, której jakoś nie chciał przerwać żaden z nas. Ojciec ledwo nadgryzł kanapkę

i chwilę potem zapalił nowego papierosa. W powietrzu zawisło napięcie i wówczas zrozumiałem, że nie przywiózł mnie tu, by spędzić na luzie popołudnie, i że nie czekają nas ani połów, ani poklepywanie po ramieniu, ani dorada przygotowana na sposób włoski, w papilotach.

– Mam ci coś ważnego do powiedzenia... – odezwał się wreszcie, otwierając teczkę i wydając z niej pakiet dokumentów w sztywnych okładkach. Na każdej z nich dostrzegłem dyskretny znaczek kancelarii adwokackiej Wexler & Delamico, która od kilkudziesięciu lat zajmowała się interesami rodziny.

Ojciec, zanim się znów odezwał, zaciągnął się głęboko.

– Postanowiłem uporządkować swoje sprawy, zanim odejdę.

– A dokąd się wybierasz?

Ojcu niedostrzegalnie drgnęła dolna warga.

– Czy masz na myśli: zanim umrzesz? – prowokacyjnie brnąłem dalej.

– No właśnie. Ale nie ciesz się przedwcześnie. To nie nastąpi jutro, nawet jeśli koniec się zbliża. – Zmrużył oczy, starając się uchwycić mój wzrok, po czym oznajmił, akcentując każde słowo: – Przykro mi, Arthurze, ale nie dostaniesz ani dolara po spieniężeniu firmy, mojego ubezpieczenia na życie i nieruchomości.

Z trudnością ukryłem zdumienie, ale w natłoku sprzecznych uczuć, których padłem ofiarą, zaskoczenie przezwyciężyło złość.

– Jeśli sprowadziłeś mnie tu specjalnie, żeby mi to powiedzieć, niepotrzebnie się trudziłeś. Chyba wiesz, że mam w dupie twoją forszę.

Ojciec, jakby mnie nie słyszał, wskazał głową kartonową teczkę leżącą na stole.

– Załatwiłem już wszystkie formalności prawne, żeby po mojej śmierci całość mojej spuścizny przeszła na twoją siostrę i brata...

Zacisnąłem pięści. Do czego zmierzała ta perwersyjna gra? Dobra, wydziedzicza mnie, ale po co ściągnął mnie aż tutaj, żeby mi to zakomunikować?

Ojciec znów zaciągnął się papierosem.

– Ty odziedziczysz po mnie wyłącznie... – Rozgniótł niedopałek obcasem, a niedokończone zdanie przez chwilę zawisło w powietrzu, taki niezdrowy sposób na podtrzymanie napięcia. – Tak więc ty odziedziczysz Latarnię Dwudziestu Czterech Wiatrów! – dopowiedział resztę, wskazując palcem latarnię morską. – Ten teren, domek i latarnię...

Zerwał się wiatr, który wzniósł nagle tumany kurzu. Byłem tak zaskoczony, że potrzebowałem kilku minut, żeby zareagować.

– A co ja niby z tym wszystkim mam zrobić?

Ojciec otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie zatrząśł nim atak gwałtownego kaszlu. Patrzyłem, jak wypływa płuca. Żałowałem, że tu przyjechałem.

– Zgadzasz się albo nie, Arthurze? – rzucił, łapiąc oddech.

– A jeśli się zgadzasz, to wyłącznie pod dwoma warunkami, które nie podlegają negocjacjom.

Zrobiłem ruch, jakbym zamierzał wstać, ale ojciec mówił dalej:

– Po pierwsze, musisz się zobowiązać, że nigdy tego nie sprzedasz. Słyszysz, co mówię?! Nigdy! Latarnia ma na zawsze pozostać w rodzinie.

– A po drugie? – spytałem zirytowany.

Ojciec zaczął przecierać oczy, ciężko wzdychając.

– Chodź ze mną! – powiedział wreszcie, wstając z drewnianego fotela.

Niechętnie powlokłem się za nim. Zaprowadził mnie do dawnego mieszkania latarnika, małego wiejskiego domku, w którym najwyraźniej nikt niczego nie zmienił od lat, jak również od lat nie było wietrzone. Na ścianach rozwieszono w charakterze ozdób sieci na ryby, drewniany ster oraz różne knoty miejscowych malarzy przedstawiające okoliczne widoki. Kominek zdobiły stara lampa naftowa i miniaturowy żaglowiec uwięziony w środku butelki.

Ojciec otworzył drzwi prowadzące na korytarz – a tak naprawdę wyłożony polakierowanymi deskami dziesięciometrowy tunel łączący domek z latarnią – ale zamiast wdrapać się po schodach na wieżchołek latarni, mój stary podniósł drewnianą klapę prowadzącą do piwnicy.

– Chodź! – rozkazał, wyjmując z torby latarkę. Schyliłem się i zszedłem za nim po trzeszczących schodkach do pomieszczenia pod ziemią. Gdy ojciec przekręcił kontakt, oczom moim ukazał się prostokątny pokój z nisko zawieszonym sufitem i ścianami z rudobrazowej cegły. W rogu stały jedna na drugiej oblepione pajęczyną beczki i drewniane skrzynie. Pokrywała je gruba warstwa kurzu nietknięta od czasów Matuzalema. Pod sufitem biegły rzędy starych zniszczonych rur. Mimo że mieliśmy to surowo zakazane, pamiętam bardzo dobrze, jak kiedyś jako mali chłopcy wraz z bratem wkradliśmy się tutaj na zwiady. Ojciec wymierzył nam wówczas tak surową karę, że raz na zawsze odechciało nam się tam łączyć.

– Po co w ogóle tu przyszliśmy, tato?

Za całą odpowiedź ojciec wyciągnął z kieszeni koszuli kredę,

narysował na ścianie wielki krzyż i wskazał na niego palcem.

– W tym miejscu za ścianą z cegieł znajdują się stalowe drzwi.

– Drzwi?

– To jest przejście, które zamurowałem ponad trzydzieści lat temu...

Zmarszczyłem brwi.

– Przejście? Dokąd?

Ojciec machnął ręką i znów dopadł go atak kaszlu.

– To jest właśnie drugi warunek, Arthurze – wysapał, kiedy wreszcie złapał oddech. – Nie wolno ci nigdy otworzyć tych drzwi.

Przez chwilę naprawdę miałem wrażenie, że ojciec na starość zwariował. Na usta cisnęły mi się pytania, ale on szybko zgasił światło i wyszedł z piwnicy.

# Dziedzictwo

*Przeszłość jest nieprzewidywalna.*

Jean Grosjean

## 1

Bryza znad oceanu orzeźwiała, ale i ogłuszała zarazem.

Znów siedzieliśmy w ogrodzie przy drewnianym stole.

Ojciec wręczył mi stare pióro wieczne ze szczotkowanej stali.

– Teraz, Arthurze, znasz obydwa warunki. Wszystko jest zapisane w tym dokumencie. Możesz zaakceptować ten zapis lub go odrzucić, daję ci pięć minut na podjęcie decyzji i podpisanie papierów.

Otworzył kolejne piwo i jakby odzyskał wigor.

Długo patrzyłem na niego. Nigdy nie udało mi się go rozgryźć ani zrozumieć, nie wiedziałem, co tak naprawdę o mnie myśli. A przecież przez wiele lat na przekór wszystkiemu starałem się go pokochać.

Frank Costello nie był moim biologicznym ojcem. Nawet jeśli nigdy o tym nie rozmawialiśmy, było to jasne dla nas obu.



On z pewnością wiedział o tym jeszcze przed moim urodzeniem. Ja zorientowałem się, kiedy zacząłem dorastać. Nazajutrz po moich czternastych urodzinach matka wyznała mi, że zimą 1965 roku miała romans z naszym lekarzem rodzinnym. Ten mężczyzna – Adrien Langlois – wrócił do Quebecu na krótko przed moimi narodzinami. Jak wiele tajemnic rodzinnych, i ta miała czas, by sobie pokątnie dojrzewać, więc gdy matka mi to wyznała, poczułem właściwie ulgę. Wyjaśniało to przynajmniej niektóre wredne zachowania ojca wobec mnie.

Może się to wydać dziwne, ale nigdy nie starałem się spotkać mojego prawdziwego ojca. Wrzuciłem tę informację do mózgu, a że nie była dla mnie ważna, wkrótce o niej zupełnie zapomniałem. To nie więzy krwi tworzą rodzinę i moje serce nazywało się Costello, a nie Langlois.

– No, zdecydujesz się w końcu, Arthurze?! – wykrzyknął ojciec. – Chcesz tę latarnię czy nie?

Kiwnąłem głową. Chciałem teraz tylko jednego: jak najszybciej skończyć tę maskaradę i wrócić do Bostonu. Zdjąłem skuwkę z pióra, ale w momencie składania podpisu w dole strony uczyniłem jeszcze jedną próbę nawiązania porozumienia z ojcem.

– Naprawdę musisz powiedzieć mi coś więcej o tym spadku, tato!

– Powiedziałem ci już wszystko, co było do powiedzenia!  
– zirytował się ojciec.

– Nie! Jeśli nie zwariowałeś, to dobrze wiesz, że nic tu nie trzyma się kupy! – zaparłem się.

– To wszystko po to, żeby cię ochronić! – wyrzucił z siebie ojciec.

Słowa te uderzyły we mnie z całą siłą, intrygujące, niespodziewane, najwyraźniej szczere. Otworzyłem szeroko oczy i zobaczyłem, że ojcu trzęsą się ręce.

– Ochronić przed czym?

Zapalił kolejnego papierosa, żeby się uspokoić, i tama zaczęła puszczać.

– Zgoda... Muszę ci coś wyznać... – powiedział tonem, jakby zawierzał mi tajemnicę. – Coś, czego nigdy dotąd nikomu nie mówiłem.

Zapadła cisza. Trwała prawie minutę. Teraz ja wyciągnąłem papierosa z jego paczki, żeby mu dać czas na zebranie myśli.

– W grudniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, cztery i pół roku po zniknięciu, zadzwonił do mnie mój ojciec.

– Żartujesz chyba?

Ojciec zaciągnął się ostatni raz i nerwowym gestem odrzucił niedopałek na żwirową ścieżkę.

– Powiedział, że jest w Nowym Jorku i że chce się ze mną jak najprędzej zobaczyć. Poprosił, żebym nikomu nie mówił o jego telefonie, i wyznaczył mi spotkanie następnego dnia w barze w terminalu lotniska JFK... – Ojciec gorączkowo splótł sękaty palce i kiedy opowiadał, widziałem, jak wbija paznokcie w skórę. – Wsiadłem do pociągu i pojechałem na lotnisko spotkać się z nim. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Była sobota, na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. Padał śnieg. Dużo lotów było opóźnionych lub zostało odwołanych. Ojciec czekał na mnie przy stoliku, pijąc martini. Wydał mi się wycieńczony i wyglądał bardzo źle. Objęliśmy się i po raz pierwszy zobaczyłem go płaczącego.

– No i?

– Najpierw powiedział, że czeka na odlot i że ma mało czasu. Potem wyjaśnił, że opuścił nas, bo nie miał wyjścia. Zwierzył mi się, że ma wielkie kłopoty, nie sprecyzował jakie. Spytałem, czy mogę mu pomóc, ale odrzekł, że sam jest sobie winien i że sam musi znaleźć rozwiązanie.

Byłem jak ogłuszony.

– A potem?

– Kazał mi kilka razy przysięgać. Nie wolno mi było nikomu powiedzieć, że on żyje, zakazał sprzedaży Latarni Dwudziestu Czterech Wiatrów, przestrzegął, abym nigdy nie otwierał stalowych drzwi w piwnicy latarni i miałem je natychmiast замуrować. Oczywiście nie odpowiedział na żadne moje pytanie. Chciałem się dowiedzieć, kiedy znów go zobaczę. Położył rękę na moim ramieniu. „Może jutro, a może nigdy...”, odrzekł. Zabronił mi płakać i nakazał, żebym był silny i zachowywał się teraz, gdy jego już nie ma, jak głowa rodziny. Minęło pięć minut, wstał, wypił resztkę martini i powiedział mi, żebym wracał do domu i wykonał wszystkie jego polecenia. „To kwestia życia lub śmierci, Frank!”, takie były jego ostatnie słowa.

Zadziwiony tymi spóźnionymi zwierzeniami spytałem:

– I co zrobiłeś?

– Wykonałem jego polecenia co do joty. Wróciłem do Bostonu i jeszcze tego samego wieczoru przyjechałem tutaj i замуrowałem drzwi w piwnicy.

– I nigdy ich nie otworzyłeś?

– Nigdy! – powiedział ojciec i zamilkł. Ja również nic nie mówiłem.

– Nie mogę uwierzyć, że nie starałeś się dowiedzieć czegoś

więcej... – rzuciłem w końcu.

Ojciec rozłożył bezradnie ramiona.

– Obiecałem mu, Arthurze... A poza tym, jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że za tymi drzwiami czekają nas same kłopoty.

– Co masz na myśli?

– Dałbym nie wiem co, żeby się tego dowiedzieć, ale dotrzymam obietnicy aż do śmierci.

Zacząłem się zastanawiać.

– Zaczekaj, jest coś, czego nie rozumiem... – odezwałem się w końcu. – Jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, kiedy dziadek tak nagle znikł, przeszukano latarnię, prawda?

– Tak, przeszukano wszystko z góry na dół. Najpierw twoja babka, potem ja, a potem szeryf i jego pomocnik.

– Więc musieliście otworzyć te drzwi?

– Tak. Pamiętam puste pomieszczenie mierzące najwyżej dziesięć metrów kwadratowych, z podłogą z ubitej ziemi.

– Nie było żadnej kłapy w podłodze ani ukrytego przejścia?

– Nie, zauważyłbym.

Podrapałem się w głowę. To wszystko nie miało sensu.

– Bądźmy realistami – powiedziałem w końcu.

– W najgorszym razie co moglibyśmy tam znaleźć? Czyjeś zwłoki? Kilka zwłok?

– Oczywiście myślałem o tym...

– Tak czy inaczej, jeśli замуrowałeś te drzwi w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku, nawet jeśli chodziłoby o morderstwo, to od dawna byłoby przedawnione.

Ojciec milczał.